



## Mirosław Derecki (M.D.)

### EKRAN I WIDZ: NA ODWYRTKĘ

No i pomyliłem się! Przewidywałem, że „Konopielka” będzie chodziła po kinach „bokami”, przy pustych sala, a tymczasem waliły na nią tłumy, i to tłumy młodzieży. Tak więc - jak by należało teraz zaraz dodać zdyszczanym recenzenckim slangiem - „ambitne założenie reżysera, który podjął się trudnego zadania, sprawdziło się zarówno pod względem artystycznym, jak i komercyjnym, o czym mogą świadczyć długie kolejki potencjalnych widzów ustawiające się przed kasami”. Jest jednak pewne „ale”: z sal kinowych dobiegał w czasie projekcji „Konopielki” Witolda Leszczyńskiego nieustanny rechot publiki, radosne wycie przedstawicieli sfer gimnazjalno-licealnych, które waliły tłumnie na seans, żeby ubawić się po pachy „taaakimi jajami” dziejącymi się na ekranie.

I tu by należało zacząć się zastanawiać nad przyczynami popularności filmu Leszczyńskiego. Oczywiście, znaczna cześć widowni, ta bardziej dorosła i bardziej wyrobiona, odbierała ekranową „Konopielkę” poprzez pryzmat słynnej książki Edwarda Redlińskiego, „dośpiewując” sobie niejako z pamięci, ze wspomnień lektury, wszystko to, co w filmie umknęło reżyserowi, co zostało uproszczone, a miejscami nawet strywializowane. Jednych film mógł razić, innym podobać się, w samie jednak wiedzieli, o co chodziło kiedyś Redlińskiemu i co z tego udało się (lub nie udało) przełożyć na język filmu Witoldowi Leszczyńskiemu. Natomiast podejrzewam, że reszta widowni, ta bardziej „surowa”, odbierała „Konopielkę” jako karuzelę doskonałych „grepsów”, „black-outów” i zabawnych scenek kabaretowych o tematyce zgrzebno-kartoflano-buraczanej, podbarwionych jaszczce tu i ówdzie radośnie bezwstydnymi scenkami erotycznymi. I w tym właśnie tkwiłby chyba sukces i zarazem klęska „Konopielki” Witolda Leszczyńskiego.

Jerzy Górzeński słusznie zauważył w jednym z ostatnich numerów „Filmu”, że „Idea sfilmowania powieści Edwarda Redlińskiego, unikatowej w naszym współczesnym piśmiennictwie, winna się opierać nie tylko na zamyśle fabularnym, ale przede wszystkim na uchwyceniu filmogenicznego związku pomiędzy pejzażem a stanem ducha bohaterów, innymi słowy - materia przeżyć bohaterów winna znaleźć odpowiednik w otaczającym ich pejzażu. Książka Redlińskiego znakomicie obrazuje ten związek, to przenikanie się stanów ducha i materii. Natomiast Leszczyński zastosował wzorzec estetyczny jak gdyby z innej

parafii. Po części w „Żywocie Mateusza” udało mu się osiągnąć ów efekt współgrający, jednoczący, co było także zasługą autora zdjęć Andrzeja Kostenki. „Konopielka” to blade echo tamtych, rewelacyjnych przecież, rozważań stylistycznych. Dziś już nieco spóźnionych”.

Święta racja! Zapomina tylko jeszcze Górzeński dodać, że w „Żywocie Mateusza” Leszczyńskiemu o wiele łatwiej było o owe przenikanie stanów ducha i materii, przede wszystkim z wagi na samą specyfikę i rytm prozy Tarjel Vasaasa, na refleksyjno-filozoficzny wymiar tamtej powieści, na skupienie się autora nad jedną tylko postacią. Tymczasem Redliński napinał ni to powieść, ni to przypowieść, ni to opowiadkę o określonej społeczności, o zbiorowości, bytującej wprawdzie jak bohater „Żywota Mateusza” wśród lasów, łąk i jezior, ale wytraconej nagle w sposób dosadny, i właściwie brutalny, ze swej dotychczasowej egzystencji. Pod ciosami z zewnątrz zaczynają się bowiem walić w Taplarach dotychczasowe zasady moralności, etyki, współzycia międzyludzkiego, a także gospodarowania czy rozumienia otaczającego świata.

Redliński zadawane sobie samemu pytania na temat sensu poznawania prawdy czy też ubocznych a negatywnych skutków postępu (wprowadzonego jeszcze dodatkowo - „na siłę” i „w przyspieszonym tempie”) wkłada w usta „konopielkowych” prostaczków. Uzyskuje dzięki temu szczególny, atrakcyjniejszy koloryt swej przypowieści. Ale przecież chodzi mu o sprawy całkiem poważne i całkiem dramatyczne, zakamuflowane tylko - z przyczyn, jakich możemy się domyślać - pod płaszczykiem satyryczno-groteskowo-lirycznym. Kontrapunktem książki Redlińskiego jest ów stosunek seksualny odbywany przez nauczycielkę-„ikonopielkę” (owo uosobienie nadciągającego do Taplar nowego życia) z jej chłopakiem - stosunek „na odwyrtek” (jak zwykli to określać chłopcy nie wiedzący nic o wykopaliskach w Pompei ani o Kamasutrze). Owo „baba na chłopie, świat się wali” powoduje w umysłowości uczciwego Kaziuka takie zamieszanie, takie „wyostrzenie” spojrzenia na wszystko co nowe, że w końcu doprowadzi to do jego zguby. Redliński jest dosadny chwilami ociera się może nawet o trywialność, ale zawsze ostatecznie zwycięża u niego liryzm i to ratuje w książkowej „Konopielce” wszystkie niebezpieczne mielizny.

W książce Redlińskiego trywialność sytuacji, czy też wypowiedzianych przez bohaterów kwestii, subtelnie dzięki odpowiedniemu manewrowaniu słowem, „literackością”. U Witolda Leszczyńskiego - mimo najlepszych nieraz zamiarów - słowo przełożone na język obrazu, także na język dźwięku, staje się często samą trywialnością. Robi się greps kabaretowy. Albo znów; co u Redlińskiego jurne, zmysłowe, rozsadzające dotychczasowe kanony, u Leszczyńskiego pokazane jest w sposób niemal liryczny. Właśnie – „na odwyrtek”!

Nie ujmuję Leszczyńskiemu umiejętności warsztatowych, nie neguję jego zdolności artystycznych, ale uważam, że w wypadku ekranizacji „Konopielki” - tematu nie udźwignął. A jeżeli ktoś chce pójść na jego film i pośmiać się do woli - to inna sprawa.